ROZMAITOŚCI.

Dnia 14. Lutego. № 7. Roku 1855.

ODWET KRWAWY.

LEGENDA HISZPAŃSKA.

(Dokończenie. Ob. Nr. 6. Rozmaitości.)

Nim morderca do siebie przyszedł, przeszła burza, zajaśniała jutrzenka, ale pora żalom jeszcze nie przyszła; obawa popędzała piérwéj uprzątnąć ślady, by nie dały poszlaki. Głowa poszła w torbę skórzaną, ciało w przepaść aż wody bryznęły, śpiesznie przypasał oręż, torbę w garść porwał i manowcami, które znał dobrze, wyniósł się z pieczar.. wkrótce był na drodze do Burgos.

I Szatan za nim.

Za górą Okką leży w dolinie miasteczko Bribiesca, za niém dwa małe ale głębokie jeziora „pozo blanco e negro“ białe i czarne; dalej odsłania się cudnie piękna płaszczyzna znana Josephowi po wioskę Monasterio, gdyż dalej wycieczki jego nie wychodziły. Urząd miał w domu gospodarza Bandytów, a do rozboju Manoel go nie zaprawiał, więc mu i do Madrytu droga nie była wiadoma. Zastanowił się tedy, gdy za Monastyrem przyszedł na drogę rozstajną, gdzie się trzy gościńce rozchodziły. Który do Madrytu, pytać nie było kogo bo jeszcze rano, usiadł więc na kamieniu, nim kto nadejdzie. Czekał z godzinę, wreszcie mu się sprzykrzyło, z gniewem pochwycił za torbę, i na przypadek źle czy dobrze godzi na prawo, gdy w tém głos jakiś woła:

Środkową drogą, środkową!

Zadrżał, zimny pot oblał go, zjeżyły się włosy, zęby się ścięły, bo poznał głos Manoela Aguili. Mimowolnie oglądnął się, nie było nikogo! tylko czart śmiał się, ale on go niewidzi.

Przesłyszało mi się, mówi do siebie, głupi-m.

Ale w téj chwili ten sam głos znowu, i Josepho struchlał. „Środkową drogą, środkową dojdziesz do Burgos, tam niebaw, ale spiesz ponad Arlanzon na noc do Villadrigo; staniesz noclegiem w gospodzie „Posada-del-Emgerandor“ a ztąd we dwie doby będziesz w Madrycie. Idź śmiało, czekają cię twoje dukaty.“

Niesłychana trwoga oblała Josepha, wszystkie członki mu potruchlały, a ze strachu chciał miotnąć torbą, zkąd głowa gadała, ale rąk nie mógł roztworzyć, palce zaklękły. I tchu mu nie stawało, nogi zmartwiały ani postąpić,

ale szatan popchnął i posunęły się, a głos domawiał:

„Ruszaj, ruszaj, dukaty czekają! jutro miniesz Tornemadę, Venta-de-Trigueros i Cubegon a zanocujesz w Walladolidzie. Stare-to miasto i wspaniałe, ale co ci tam po niém, i jego mostach czternastu na Esguerze, i tych posępnych gmachach królów hiszpańskich, co ci po jego Campo grande i kościołach pietnastu, tobie pospieszać trzeba. Nazajutrz rano i wcześnie przebywaj Duero i Adaję, mijaj Valdestillas i Olvedo, i po drugim noclegu staniesz w Nowéj Kastylii za Guadarramą, a pod wieczór jesteś w Madrycie. Stawisz się u Corregidora, i Alkada każe ci wypłacić Radość za zbrodnię. Żwawo, żwawo, komu droga temu czas, zmylić nie możesz; — a pamiętaj dukaty!“

I tak pod chłostą czarta naglony, gnany, szarpany zgryzotą sumienia, i w niepamięci nawet tego co czynił, stanął w Madrycie, i bez zwłoki stawia się przed Alkadą śmielszy już, że się głowy pozbędzie i zapłatę otrzyma. Otwiéra torbę, chwyta za kosę, wyjmuje głowę i patrząc gdzie indziéj, trzyma ją chwilę przed sędzią, ażeby rysy rozpoznał.

Sędzia istotnie znalazł jak było, i kazał wypłacić nagrodę. Josepho rad że mu już wolno zbyć się ciężaru, sadza głowę na stół, lecz w tém głowa, niema od Monasterio zaczyna gadać:

„Zostawić mię? o nie Josepho! tak prędko my się nie rozstaniemy; mamy z sobą jeszcze wiele pomówić.“

Alkada zadrzał, bo słyszał głos i widział jak się usta głowie ruszały. Słuchaj młodziku! zawołał, zabierz tę głowę i wynoś się co tchu, albo drzyj przed inkwizycyą!..

I znowu mordercę zalała trwoga, cisnął głowę do torby i wyniósł się, jakby go piekło, gonił ulicami szukać ochłody palącym wyrzutom, i wpadł do gospody w „Calle del Caballero-de-Garcia“ najpiękniejszéj ulicy w Madrycie, spragniony, a zgany podmuchem czarta, wychyla dwie flasze Xeres, ażeby zatopić piekące uczucia. I nabrawszy otuchy, dobył głowę i mówi do niéj:

Manoelu Aguila, ty widzę żyjesz a rozum w mózgu chowasz, aby się pastwić nademną; gadaj jak długo mścić się będziesz i co ze mną chcesz zrobić?

A głowa odpowiada:

„Kiedym się żegnał z kolegami, pamiętasz owego wieczora, miałem tobie, a tobie samemu coś powiedziéć; wiesz także, że chciałem zakończyć życie w miejscu, zkąd byłem rodem, w królestwie Walencyi, bo tam, dodałem, od dawna na mnie czekają. Otoż do Walencyi tyś mię miał prowadzić; ani myśl mię się pozbyć, próbowałeś już raz w Monasterio a nie udało się, i nie uda, bo między nami Josepho! jest wrogi, tajemny związek, który nierozerwie żadna potęga niebios ni piekieł. Tam mię więc zanieś, dokąd za życia zajść chciałem. Prędzéj, prędzéj, nie trać czasu, mię nagli, ale i ciebie naglić, musi chcąc mię się pozbyć. Zbieraj się, umarli gonią.“

We cztery dni poźniéj wlókł się już Josepho ponad Guadalavirę, co przerzyna królestwo Walencyę, a ciężaru jeszcze mu nie ubyło, owszem narosło. Wynędz-

niał i zestarzał się, prawe ramię, co niosło głowę, zeschło na szczypę, odzież przedtem tyle wytworna, dziś spielona i zszarzana odpłaszała ludzi; żegnał się jak od upiora, kto go zobaczył. Hoży Josepho wyglądał jak dziad brudny, ztyrany, bo każda godzina wyrzutu sumienia trawi jeden cały rok życia i wygrzebuje na czole po jednéj bruzdzie a po dwie w sercu.

„Żwawo Josepho, odzywa się jeszcze głowa, żwawo! już niedaleko; dziś wieczór staniemy w Lewii, ostatnie chwile zawsze są najprzykrzejsze; chcesz? zabawię cię, i opowiem zdarzenie jedno.“ Gadaj co chcesz, pomyślał morderca, bo mu mówić głosu niestało.

„Nim skończę, zapewne staniemy na miejscu, bo już mię zachodzą wonie pomarańczowe zowąd, gdzie mieszkać chciałem. Słuchaj mię więc i pospieszaj: Przed laty trzydziestu byłem w wieku twoim, i jak ty młody, przystojny, kruczy włos długi, oko żywe a usta wesołe; i jak u ciebie pałało mi serce, a rozum bystry był, przenikliwy i zdrowy; mnie także jak tobie gdyś w posadach górskich Sequidillę tańczył, przypadło do oka dziéwczę piękne i lube. Wtedy nie byłem jeszcze bandytą; żyłem bez trosków, wolny, swobodny, uprawiałem zagon w szczęśliwéj ziemi mojéj Walencyi. Dzień schodził przy pracy, wieczorami w spoczynku na trawie wpatrywałem się w gwiazdy, co są okiem Boga, jak mi matka mawiała, albo także legałem u brzegów Guadaliviry i puszczałem myśli z falami. Tęskniłem do niedzieli zobaczyć moją Walentyniankę, i myślałem często, że niema w całéj Hiszpanii szczęśliwszego jak Manoel Aguila. Raz wieczór, pamiętam na Ś. Muryllo, tańczyłem z nią kilka Bollerów, z nią któréj oczy słodsze były jak u Madony w naszym kościele; zwała się Juanita. Drugiéj niedzieli już tylko z nią samą tańczyłem, a do roku o Ś. Murillu, krzątaliśmy się społem na gospodarstwie, któremu nieba błogosławiły. Juannita udarowała mię synem, na niego zlałem nadziei moich połowę a drugą na Juannitę. W kilka lat potem wypadła mi podróż za Madryt, żegnając poruczyłem dziécię moje matce, a matkę Bogu; a muszę ci powiedziéć nim-eśmy się pobrali, kochał się w niéj pewny dzierzawca bogaty; brzydki złośliwy przysiągł się pomścić za to, żem go odsadził, a Hiszpan kiedy pomstę przysięże, Josepho, prędzéj słońce o północy zejdzie, niżby słowa zapomniał. I Riccardo zemścił się; w nieobecności mojéj zabił mi Juannitę, i w dzień powrotu mego zastałem zwłoki tylko po żonie. Sam Riccardo uszedł, a na domiar boleści zabrał mi syna.

Moja zemsta, Josepho, była okropna, nie opowiadam, bo już jesteśmy na miejscu.“

Zmrok właśnie zapadł, Josepho stał w gaju drzew pomarańczowych, krzewów oliwnych i cytrynowych, wonie zapachem rozmarzały; o kilka kroków przed nim stała mogiłka, na niéj krzyż stary kamienny, w pół nadszczerbiony migotał się w cieniach za liściem.

„Josepho! woła głos niezbłagany, dobądź mię z torby.“

Dobył.

„Josepho! to grób Juannity mojéj, gołąbka mego, przy nim legnie orzeł jéj Aguila. Dopełniłeś woli méj, ale jeszcze jest jedno: wygrzeb tu grób i dla mnie, i koniec będzie. Za to życie, które-ś mi odjął, tyle najmniéj odwetu. Wykopałeś, nie prawda?

Przecież nakoniec Juannito moja, będziemy razem. Oh! przy ostatniém tchnieniu mojém, pewny jestem, zadrzą kości twoje, serca nasze zamrzą społem, i razem powstaną w dniu ostatecznym.

Jeszcze jedną przysługę, Josepho! jeszcze ostatnią: złóż mię do grobu... Dobrze, dziękuję... teraz nachyl się trochę, bo czuję, że duch uchodzi:

Przyrzekłem ci zwierzyć się z czegoś, kiedyśmy w górach byli; w téj chwili wyznam ci — ale nachyl się więcéj, jeszcze troszkę, tak, dobrze, słuchaj:

Uniosłem cię z Katalonii z domu Riccarda; tyś syn mój! Przeklęty-ś ojcobójco! przed światem i Bogiem!“

Josepho padł w grób i zastygł.

A czart rzucił się na niego, pocisnął pod biodro i wydusił mu z serca żarzysty płomyk, porwał i znikł z nim pod ziemię.

A to była dusza potępieńca, którę na Gabrielu zdobył.

MANFRED.

Tragedya w 5 aktach wierszem

przez

Xawerego Godebskiego.

(Dalszy ciąg. Ob. N. 1. 2. 3. Rozmaitości).

Akt II.

Scena 1.

Gościnna cela w klasztorze Świętokrzyskim, po prawéj stronie okno, po lewéj drzwi.

Nieznajomy *(leży na łóżku uspiony snem gorączkowym).*

Opat *(wpatruje się w niego z boleścią).*

Opat.

Zasnął! — Jeźli snem nazwać można sen takowy:
Te z samym sobą ducha tajemne rozmowy
Te głębokie westchnienia, gwałtowne zrywania,
Warg ruchomość i członków konwulsyjne drga-
(nia
Dowodzą, że trud dzienny senność tę wymusza,
Ale spoczynku ciała nie podziela dusza.
(przystępuje bliżéj do łóżka)
Dziko zgrzytnął zębami i zacisnął dłonie,
I pot mu w grubych kroplach wystąpił na skro-
(nie....
Strasznéj wewnętrznéj walki zbyt jawne po-
(szlaki....
Zbudzę go — uspokoję....
(pociąga za rękę śpiącego)

Nieznajomy *(zrywając się na łóżku).*

Mnicha! ktoś ty taki?
Życie moje w twym ręku....

Opat.

I skądże te wnioski?
Nie trwoż się nieszczęśliwy. — Zwierz mi twoje
(troski.

Nieznajomy.

Nieszczęśliwym mnie zowiesz! — Odzież zdarta,
(licha,
I te blizny, na których świeża krew przysycha,

Przekonały cię o tém. — Czegoż więcéj trzeba?
Wszak nie błagam litości, nie przyzywam nieba,
Odpowiedzi nie zwlekam. — Chcesz badać? mów
(prędzéj
Czego chcesz? Nędzny jestem i dumny z téj
(nędzy —
To mi tylko z ludzkiego bytu pozostało.

Opat.

Nędza zewnętrzna ludzi, nie jest im zakałą,
Święci Pańscy w doczesném życiu ją znosili;
Lecz w najcięższéj niedoli jak w pogodnéj chwili
Usypiali spokojnie i z Bogiem widomie,
Tak pod gościnnym dachem, jak na więzień sło-
(mie;
A sen twój nie był takim.

Nieznajomy *(ponuro)*.

Któż tu sen mój śledzi?
I cożeś wyrozumiał z téj sennéj spowiedzi?

Opat.

Znać innych tajemnice nie troszczę się zgoła;
Lecz zaklinam cię w imię téj władzy kościoła,
Co bez względu na świata znikome zaszczyty,
W najgłębszych serc tajnikach śledzi grzech
(ukryty;
Ukaż mi duszy twojéj bolejącą ranę!
Czy słodkie związki wolą nieba rozerwane,
Albo rodzinne względy pokój twój zatruły?
Lecz nie takie uczucie, nie taki wzgląd czuły
Zpod przywartéj w śnie twoim łyskały powieki.—
Duch życzliwych skłonności od ciebie daleki...—
Mów jaki szatan twoją opanował duszę,
Gniew, czy zazdrość — czy zemsta?

Nieznajomy *(zrywając się na nogi z wściekłością)*.

Oh! zemścić się muszę!

Opat.

Okropny dług zaciągasz!

Nieznajomy.

Rozpłacę się w piekle.

Opat.

Nie człowiek ale szatan przemawia tak wściekle.

Nieznajomy.

Szatan ten był człowiekiem, choć teraz wstręt
(budzi:
Niesprawiedliwość ludzka, zbrodnie innych ludzi
Zrobiły mnie czym jestem. — Dziś daremne żale
(biorąc go za rękę)
Wpatrz się we mnie. — Poznajesz?

Opat.

Ja cię nieznam wcale!

Nieznajomy.

Nie znasz, mówisz — rzecz dla mnie i dziwna i
(nowa;
Bo ubogi najczęściéj pamięć tych zachowa,
Co ze szczytu wielkości i dostojeństw padną; —
Równi tylko z pamięci wyrzucą go snadno.
Niedawno stary żebrak poznał mię zdaleka;
A swoi widzą we mnie obcego człowieka.
Nie miałem ja na sobie téj hydnéj siermięgi
Kiedyś ty, w moje progi, za dni méj potęgi
Bosy z pokorną prożbą chodząc za jałmużną,
Wnosił kwestarską torbę i nie wracał z próżną.
(patrząc mu w oczy)
A teraz czy poznajesz?

Opat.

Wzrek mój osłabł z wiekiem;
Głos twój przecież w odbiciu wraca mi dalekiem.

Nieznajomy.

Słuchaj więc — każdy w świecie ma swoje rze-
(miosło:
Twoje na tém polega i tém się podniosło,
Że pogardziwszy światem i żyjąc z ołtarza
Zdajesz na Boga wszystko co przypadek zdarza,
Posłuchaj prostéj życia jednego powieści:
Więcéj ona ostrzeżeń i nauki mieści,
Niż wyjęte z ksiąg zdania. — Powieść ci tę
(zwierza
Hrabia Manfred czy słyszysz? Niegdyś wzór
(rycerza,
Bożyszcze ludu, piérwszy faworyt Xiążęcy,
Manfred, którego uśmiech ważył nie raz więcéj
Niż wzgląd samego Władzcy. — Ów pan między
(pany,
Potrzebą wycieńczony, niedolą znękany,
Odarty ze wszystkiego, żebrze pokryjomu
O kilka kropel wody i kąt w twoim domu;
Aby nim w inną nędzny byt poniesie stronę,
Mógł choć nieco odwilżyć usta przepalone
I rozbolałe złożyć na spoczynek ciało.

Opat.

Wszelki duch Pana chwali! Co się z tobą stało?

Manfred.

Mów czy śmiałbyś mnie zdradzić?

Opat.

Najlichszy z mych braci
Taką sromotą duszy swojéj nie zatraci. —
Nie innych, ale własnéj strzeż się synu zdrady:
Po wielu już bezdrożach wydeptałeś ślady,
Nie mało klęsk o dumną uderzyło głowę;
A przecież sam niebacznie ściągnąć możesz (nowe.—
Patrz — czy widzisz ztąd zamek twego przeci- (wnika,
Sprawcy wszystkich twych nieszczęść, Hrabie- (go Rodryka? —
Zwyczaj chce, a Suzaren troskliwie go strzeże,
Aby każdy na nasze rzucony wybrzeże
Szedł na zamek, i wdzięcznie przyjmując ofiarę
Kosztem pańskim podjęty przebawił dni parę;
Jeźli nie pójdziesz, dziwne obudzisz domysły;
Pójdziesz — od tego kroku dni twoje zawisły:
Lada wyraz gwałtowny, śród zamkowéj rzeszy
Zdradzi cię niewątpliwie i zgubę przyspieszy.—
Jeżeli się nie mylę myśl twoją przeniknęłem:
Zadrzałeś — czy się lękasz?

Manfred.

Lękać się nie zwykłem,
Ale śniłem przed chwilą i senne widziadło,
Potem coś mi powiedział, na myśl mi przypadło:
Stałem w obec Rodryka — bystre jego oko
Wpatrzyło się w me rysy natrętnie, głęboko,
Lecz twarz dobrze znajoma zdała mu się cudza,
Uczułem dziką radość — jaką w nas obudza
Widok straszliwéj żmii, co skonania blizka,
Z bezsilną już wściekłością na ciebie się ciska;
Radość, jaką czuć musi bytem swym zdumiały
Pasterz alpejski patrząc w niebotyczne skały,
Z których wicher go strącił, a opatrzna siła
Żyjącego cudownie u stóp ich złożyła. —
Tak ja widząc na jawie i w żyjącém bycie
Widmo straszliwe myśli trujących mnie skrycie,
wpatrując się w rysy obmierzłe bez trwogi
Pomyślałem: Ten człowiek rzuci się pod nogi
Jeśli odgadnie, jakie szczęście go spotyka....
I serce moje radość ogarnęła dzika.....

Opat.

Uspokój się mój synu, nie ujżrzysz go może:
Bawi właśnie w Palermo na Xiążęcym dworze,
Wywiódł własne swe roty i znaki krzyżowe,
Bo Konrad szwabski tracił do resztę już głowy
Godząc sykulskich Panów nienawiść i pychę.
Hrabina wiedzie życie samotne i ciche
Dwór jéj skromny..... Dla czegoż ten uśmiech (złośliwy?

Manfred.

Rodryk żonaty — ha! ha! Niespodziane dziwy.
(sam do siebie)
Sama gdyby i dziecko..... któż wié co wypa- (dnie....
Ha! ha! szatański pomysł.....

Opat.

Słowa twe bezładnie
Plączą się jako pasmo nici zawikłane;
Ale tło ich posępne...

Manfred *(z rosnącém obłąkaniem).*

Długoż tak zostanę?
Oh! gdybym mógł go zetrzeć w całéj jego sile!
Gdybym go miał przed sobą choć na jedną chwilę,
Sam na sam, oko w oko, bez świadków, bez (broni
Nad przepaścią wód ciemnych niezgłębionéj toni,
Gdzieby całym przedziałem na czas walki krótki
Między nami a śmiercią była deska łódki —
O z jakążbym wściekłością ujął go w ramiona
I skoczył z nim w bezdenność i widział jak (kona....

Opat.

Milcz, milcz! bo świętych kości, w tych mu- (rach złożone,
Zadrzą przejęte zgrozą!

Manfred *(w najwyższém obłąkaniu).*

Nim ducha wyzionę
Jeszcze chcę widzieć.... jeszcze....

Opat.

Krew się w żyłach ścina,

Manfred *(śmiejąc się konwulsyjnie).*

Skonał przecie ha! ha! ha!
(zatacza się i pada)

Opat *(strwożony otwierając okno).*
Na pomoc!

Braciszek *(wchodząc).*
Hrabina
Wdzięcznie prożbę przyjęła.

Opat.
Śpiesz przywołaj braci!
(Mnichy wbiegają).
Wynieście go! Do reszty przytomność już traci,
Duszno w celi — powietrze orzezwi go świeże....
(Mnichy wynoszą Manfreda).

Opat *(sam do siebie, wychodząc za nimi).*
Co Bóg zgubić zamierzył, człowiek nie ustrzeże.

Scena 2.

Komnata służebna w zamku Lukano.

Hugo *(wprowadzając kilkunastu rozbitków).*
Tędy, tędy biedaki, — nie braknie wygody
I strawy.

1. Majtek.
W to mi grajcie — bo prócz słonéj wody
Nic dziś w ustach nie miałem.

Hugo.
Zakąsisz ją bracie. —
Zkądżeście to płynęli, i dokąd zmierzacie?

2. Majtek.
Zkąd? nie pomnę — a dokąd? może się do-
(wiemy.

Hugo *(do 1. Majtka).*
A ty czy nie pamiętasz?

1. Majtek.
Na czczo jestem niemy.

Hugo.
Rzecz dziwna! szorstkość mówią poczciwości
(znamię:
Zobaczę czy tą razą przysłowie nie kłamie.

Klotylda *(wchodząc do Hugona).*
Rozgość tych ludzi w zamku, jak możesz najlepiéj:
Kilkudniowy spoczynek siły ich pokrzepi.
A gdzież jest wasz Naczelnik?

2. Majtek.
Z przyjściem nie zabawi
I oświeci was, gdyście poznać go ciekawi.

1. Majtek.
My za niego słuchamy, on sam odpowiada.

Hugo.
Karność rzadka.

2. Majtek.
On właśnie!

Klotylda *(sama do siebie).*
Bardzom poznać rada
Pochodzenie tych ludzi i cel ich podróży.
(Manfred wchodzi zanurzony w ponurém milczeniu).

Klotylda *(wpatrując się w niego ciekawie).*
To wódz, jakże ponury! Wzrok jego nie wróży
Życzliwego obejścia.... — Ciekawość mię wie-
(dzie,
A zaczepić go nie śmiem....

Hugo *(do Majtków).*
Może przy obiedzie
Zapoznamy się bliżéj.

Manfred *(podnosi głowę bystrem okiem przeziera obecnych i wychodzi).*

Hugo *(sam do siebie).*
Gość nie zbyt ochoczy!

Klotylda *(patrząc za odchodzącym).*
Trwoży mię, niewiem czemu. — Serce jego
(tłoczy
Ciężki wyrzut sumienia, lub żałość głęboka....
Cóżkolwiek bądź, czuwajmy. — Nie spuszczę
(go z oka.
(Wychodzi).

Hugo *(do Majtków).*
A wy ze mną do stołu!

2 Majtek.
Gdy los gratkę darzy
Zapłaćmy wesołością hojność gospodarzy,
Niech giną wszelkie troski — głupi kto się
(smuci,
Co dziś morze zabrało, to ziemia powróci.—

(Śpiewa).

Kiedy wicher świszcze w uszy
Błysk wyślepia oczy,
Tchórz o swojéj myśli duszy,
Zuch do rudla skoczy.
Jest nas razem stu czy dwóch
Każdy z nas do rudla zuch.
(Majtkowie powtarzają dwie ostatnie strofy).

2. Majtek.

Kiedy pełna z winem flasza
Wyzywa przychodnia,
Tchórz zawczasu się wyprasza,
Zuch przesiedzi do dnia.
Jest nas razem stu czy dwóch
Każdy z nas do szklanki zuch.

Majtkowie.

Jest nas razem stu czy dwóch
Każdy z nas do szklanki zuch.

(Wychodzą).

(Dalszy ciąg nastąpi).

OSOBLIWOŚCI AMERYKAŃSKIE.

P. Brodie Cruikshank wydał zeszłego roku w Londynie dzieło ciekawe o plemionach znad złotego brzegu Afryki, a których plemiennicy składają teraz szczep ludu cesarstwa Hajti w Ameryce. Szósty i siódmy rozdział drugiego tomu zawiera wiele osobliwości amerykańskich, z których przytoczymy obyczaj religijny ludu hajtyńskiego.

Bałwochwalstwo — mówi — nie wygasło u Hajtyanów w pamięci, i chociaż osłoniło się obrządkiem i obyczajem katolickim, pewna jednak, że byle mu odjąć powłokę katolicką, wystąpi w całéj nagości stary murzyński obrząd i wyznanie, a na prawdę i bez tego się rozszerza tak, że się obawiać przychodzi zatraty chrześciaństwa, jeżli stolica apostolska powagi nie odzyska.

Panuje między Hajtyanami tajemny związek pewnego Vaudoux, a związek ten niby Ultra-patryotów, jest z duszą i ciałem zupełnie pogański, a tém trudniejszy do pokonania, bo się wszczepił na zwyczajach afrykańskich, niemniéj i usposobieniu ludu afrykańskiego. Dygnitarzów też w tym związku potworzył Vaudoux na wzór obrządników bałwochwalstwa w Afryce, a na znak sprzymierzenia przepisał spólną adoracyę składaną wężowi z Congo, którego umyślnie sprowadził z nad rzeki Zairy do Hajti.

Niedorzeczna ta adoracya polega na zasadach wiary murzyńskiéj, którą i Hajtyanie przechowali. Przekonaniem ich, istność najwyższa przelewa z miłości ku ludziom swoje boskie atrybuta na różne stworzenia, i powoduje natchnieniem swojém każdego człowieka, któremu z tych stworzeń ma się poruczyć, i które z nich czcić i adorować powinien. Przedmiot taki raz obrany pozostaje mu bożyszczem na zawsze; a tym bożyszczem bywa w Gwinei kamień albo kłoc, drzewo albo rzeka, jezioro albo góra, aligator, wiązka gałganów, albo wąż. Każdy człowiek z osobna przysposabia sobie takie bożyszcze, familia zaś cała adoruje oddzielnie inne bóstwo spólne wszystkim członkom, a naród cały ogółem posiada bałwana szczepowego, bożyszcze narodowe, które ma przełożonego do siebie arcy-ofiarnika, nakształt arcy-kapłana.

W pamięci téj wiary i tego wyznania zaprowadziło się w Hajti bożyszcze całego państwa w postaci wielkiego Węża z Congo; posiadać ma tajemną moc i cudowne przymioty, ma dar wieszczbiarski, i inne właściwości przychylne człowieczeństwu. W wdzięczności i pokorze za to, wynoszą go téż w pełni księżyca o północy do lasu, i wyprawiają przy nim różne ale bardzo sprośne biesiady, zupełnie takie jak Murzyni w Gwinei i w Kongo wyprawiają nocne uczty Bussamowi swemu. Wstęp na tę biesiadę nie każdemu wolny; i tylko prawowierni i doświadczeni Murzyni przystęp mają, a Biały człowiek naraził by się bardzo, gdyby się chciał podsunąć.

Jakim sposobem udało się autorowi przyjść do wiadomości tych rzeczy, ciekawy znajdzie opisanie w pomienioném dziele; autor podając je dodaje: to jednak pewna że cesarza Soulouque-a trapi nieustannie bożyszcze Mulatów, które na złość mu gdzieś w ogród zakopali; napróżno Soulouque szuka, i obawa go nęka, że z czasem bożyszcze Mulatów przemoże bałwana Murzynów czystéj krwi, dlatego téż z laty pracuje, jakby dostać w swe ręce to bóstwo nieprzyjacielskie.

Zima Sybirska.

Zimy nasze, chociaż także ostre, daleko im jeszcze do Syberyjskich, powiada pewien Yankee w swoich podróżach. Kto jedzie, musi nietylko zawinąć się w futra, ale i twarz osłonić i powietrze ukradkiem łapać, bo czystém powietrzem dychać nie podobna bez bolu płuc. I gdy się już sam zaopatrzył, z koniem trudno poradzić, zamarzają mu nozdrza, rzuca nieustannie konwulsyjnie głową, wytęża chrapy, a stacya od stacyi dziesięć godzin odległości! Jeszcze gdzie dużo śniegu to lepiéj, ale na suchém pękają kopyta koniowi.

Karawany w polach otacza dymiasty obłok, powstający nietylko z oddechów ludzkich ale z pary, która ze śniegów wzbija się w górę, zamarza w kształt igieł, i w powietrzu trze się i szeleści jak materya jedwabna.

Nawet ranifety szukają lasu przed zimném, a gdzie lasów niema, skupiają się w tłokę jak owce i tym sposobem się grzeją. Jeden tylko kruk wisi zdrów w obłokach, ale za jego lotem ścieli się pas białawy, ślad zamrożonych wyziewów z niego.

I drzewa od mrozu pękają z łoskotem jak gdyby z działa, masy lodów rwą się z posady i z grzmotem spadają; ziemia się rozpada, gdzie była pod nią woda, nagle wystaje jezioro, które w okamgnieniu zamarza.

Nawet zdaje się że i niebo samo zamarza; gwiazdy świecą wprawdzie, ale ich jasność przyćmiona.

Główny Redaktor **M. Szrzeniawa Sartyni.** *Z c. k. galicyjskiéj drukarni rządowéj.*